

ILUSTROWANY

PRZEGLĄD TYGODNIOWY

Wychodzi w każdą niedzielę

Krakowie • Wiedniu • Mor. Ostrawie

cznik I.

10. października 1915

Nr. 47.

Redakcja, administracja i ekspedycja
w Ostrawie, ul. Johannowego 5.
Tel. Nr. 163.

Rękopisów się nie zwraca.

Cena numeru 20 halerzy

Prenumerata kwartalna . . K 2.50

Prenumerata półroczna . . K 5.—

Ceny ogłoszeń: Cała strona 100 kor.,
 $\frac{1}{2}$ strony — 50 kor., $\frac{1}{4}$ strony — 25 kor.,
 $\frac{1}{8}$ strony — 12.50 h. i t. d. Przy kilkakrotnem zamieszczeniu wysokie rabaty.



Z wojny w Rosyą. — Zdobyty przyczółek mostowy na Ikwie.

Z wojny.

Aby ulżyć wojskom rosyjskim, naciskanym przez armie sprzymierzonych, podjęli Francuzi i Anglicy silną ofensywę przeciw Niemcom, niestety jednak bez rezultatu, przeciwnie, ponieśli przy tej sposobności duże straty.

Czwórporozumienie szuka pomocy u małych państw bałkańskich jużto nęćąc chętnicami, jużto grożąc — ponieważ Bułgaria zmobilizowała swą armię, a czwórporozumienie przewiduje, że mobilizacja ta, skierowana przeciwko Serbii, przeto próbuje zaszachować Bułgarię i usiłuje namówić Grecję do wystąpienia przeciw tejże, obiecując nawet pomoc w ilości 150.000 wojsk francuskich, które mają być wysadzone w Salonikach.

Grecja wprawdzie mobilizuje się, ale także i niedowierza czwórporozumieniu, a już wcale nie ma ochoty tolerować obecności obcych wojsk na swem terytorium.

Co z tego wyniknie, to dziś trudno coś stanowczego powiedzieć, w każdym razie, wobec braku sukcesów pod Dardanelami, czwórporozumienie stara się o wywołanie zamieszania na półwyspie bałkańskim w tym przeświadczeniu, że państewka bałkańskie zechcą dla innych wyciągać kasztany z pieca.

Na terenie operacji przeciw Rosji — na razie nie ma wybitniejszego do zanotowania — warunki bowiem terenu wpływają na powolność akcji, która jednakże dobrze obmyślana i obliczona, będzie mieć prawdopodobnie rezultat pomyślny.

Odezwa Episkopatu Polskiego.

Czcigodnym Braciom, Arcybiskupom i Biskupom Świata katolickiego. Episkopat Polski braterskie pozdrowienie.

Podniesieni na duchu i zachęcani prawdziwie apostolskimi słowami szczęśliwie nam panującego Papieża Benedykta XV., wprowadzamy w czyn piękne i szlachetne polecenie tak drogiego nam wszystkim Ojca — i prosimy Was gorąco, Czcigodni Bracia, o Waszą cenną pomoc.

Z pełnego miłości listu, który zarazem Wam przesyłamy, poznacie, jak daleko ufa Ojciec nasz, że „wszystkie Jego dzieci na wezwanie Episkopatu Polskiego z całym zapaleniem pójdą za tym głosem i wspólną modlitwą, jakoteż wspólnymi ofiarami przyczynia się do zlagodzenia niedoli tego szlachetnego narodu“.

Polska ten rozległy kraj katolicki, wskutek najstraszniejszej wojny przechodzi niewymowne cierpienia i jest w swojej większej części zniszczona doszczętnie i pogrążona w nędzę tak okropną, że podobnej świąt bodaj jeszcze nie widział. Miliony bowiem wojsk walczą przeciw sobie na naszej ziemi, a okrutne konieczności wojny są przyczyną klęsk niesłychanych. Legło w gruzach kilkadziesiąt miast, kilka tysięcy wsi i około tysiąca kościołów. Niedostatek, że na ogromnych przestrzeniach wyczerpały się zupełnie zapasy żywności, a'e nadmiar nieszczęścia Polacy zmuszeni są walczyć w trzech wrogich sobie armiach i często brat brata, syn ojca, krewny krewnego, przyjaciel przyjaciela mimowoli życia pozbawia. Ojciec święty odczuwa dokładnie to wyjątkowe straszne położenie Narodu Polskiego, mówiąc, że „ten naród bardziej niż ktokolwiek inny dźwigał i dźwiga jeszcze okrutne brzemień wojny“.

Ta Polska, która od wieków była przedmurzem chrześcijaństwa i która w chwilach najcięższych nie

przestawała być najlepszą i najwierniejszą córką Kościoła, dzisiaj także, pomimo ogromu nieszczęść, które na nią zesłały niezbadane wyroki Opatrzności Boskiej, nie zachwiała się w wierze swojej. Potrzebuje ona jednak nad wszelki wyraz pomocy moralnej, dla przetrwania z niezłomną wiarą oczekujących jeszcze na nią cierpień, — i materyjalnej — dla wyratowania setek tysięcy swoich synów od chorób, nędzy i śmierci głodowej już teraz tak liczne ofiary zabierającej.

Ponieważ zaś, jak mówi Ojciec święty, „klęskom Polski obecnie inaczej ulgi przynieść nie można, jak za pośrednictwem jednogłośnej pomocy narodów, — my niżej podpisani, Arcybiskupi i Biskupi polscy, zwracamy się z ufnością i łzami do Was, Czcigodni Bracia, w imię Matki Miłosierdzia i w imię tych świętych, których Polska dała Kościołowi Powszechnemu z następującą błagalną prośbą:

Zarządźcie, aby wierni w dyocezjach Waszych złączyli swe modlitwy „z żarliwymi modlitwami Ojca świętego“, na intencję całego Narodu Polskiego, a swoje ofiary z tą ofiarą, którą namiestnik Chrystusowy w „Swojem Czcigodnem Ubóstwie“, w obecnej godzinie bardziej niż kiedykolwiek się zaznaczającym dla Polski miłośctwie przeznaczył.

Niechaj w dniu tym cały Świat Katolicki złączy się w darach miłosierdzia i gorącej modlitwy o Boże zmiłowanie dla nieszczęśliwego narodu.

Raczie więc w Dyocezjach Waszych nakazać, żaby w niedzielę dnia 14-go listopada roku 1915, we wszystkich Kościołach Duchowieństwo zanowiedziało, że niedziela następna, przypadająca dnia 21-go listopada 1915 roku jest przeznaczona na te modły i zbieranie tych ofiar, za które wszystkim uczestnikom, a przez to i całej Polski miłosiernym dobroczyńcom Ojciec święty „udziela z całego serca osobnego błogosławieństwa Apostolskiego“.

Oby Bóg dobry raczył pobłogosławić wspólnym naszym zabiegom o dobro moralne i materialne wiary, pasterskiej pieczy naszej powierzonych, i tym cierpiącym rany zagoić, udzielając co najrychlej światu, — krwią załanemu, trwałego pokoju i wytchnienia po tej okrutnej wojnie.

Pokój Boży niechaj będzie zawsze z Wami, Czcigodni Bracia.

Wasi Bracia, w Chrystusie.

Edmund Da'bor, Nominat, Arcybiskup Gnieźnieński i Poznański. Józef Bilczewski, Arcybiskup Lwowski (obrz. lac) — Józef Teodorowicz, Arcybiskup Lwowski (obrz. orm). — Aleksander Kakowski, Arcyb. Warszawski. Franciszek Albin Symon, Arc. Tyt. Attaliński. Karol Hryniewicz, Arcyb. Tyt. Pergeński. — Adam Stefan Sapieha, Książe Biskup Krakowski — Augustyn Łosiński, Biskup Kielecki. Stanisław Kazimierz Zdzitowiecki, Biskup Kutawsko-Kaliski. Antoni Julian Nowowiejski, Biskup Płocki. Józef Sebastian Pelczar, Biskup Przemyski. Marian Ryx, Biskup Sandomierski, Leon Walega, Biskup Tarnowski. Kazimierz Ruszkiewicz, Biskup Tyt. Bergski. Sufr. Warszawski. Władysław Bandurski, Biskup Tyt. Irenopolitański. Sufr. Lwowski. Paweł Jedzink, Biskup tyt. Temizoński. Wikaryusz Kait. Poznański. Wilhelm Kloske, Biskup Tyt. Teodozjopoliński, Wikaryusz Kap. Gnieźnieński.

Dan: Poznań, Lwów, Warszawa, Kraków, dnia 15. sierpnia 1915 roku Pańskiego.

ZBIGNIEW ORWICZ.

OSTATNIA KARTKA.

Pnie Tosi Morskie

Koledzy przyjęli Stacha z radością. I znowu zaczęło się dlań wystawianie na placówkach, życie w niepewności jutra i tulacza mitręga.

Dusza jego wróciła do wojny, wegetował bojem, czasiem tylko przenosząc się myślą ku Rodzicom, lub Irenie...

Aż raz...

Pod wieczór jakoś to było...

Moskale cofnęli się ze swych pozycji, trzeba było iść naprzód. Przewidywano jednak, że nieprzyjaciół ufortyfikował swe okopy minami i mimo odwrotu chce ich schwycić w pułapkę, by choć tym sposobem zadać trochę strat. Postanowiono tedy puścić przodem kilka sztuk zwierząt, by uniknąć ewentualnej zasadzki...

Nagle przed front wysunął się Ryłski i przyłożywszy rękę do daszka, dobitnie rapertował.

— Obywatelu kapitanie, melduję posłusznie, iż podejmę się wyszukania min.

— Pochwalam waszą odwagę, pogardę dla śmierci i chęć poświęcenia się za kolegów, ale nie wolno mi was narażać.

— Cóż jest ważniejsze, czy życie moje, czy dziesiątek innych towarzyszy? Komendancie, krowy mogą zawieść, a co wtedy?...

Zasępił się wódz, a w piersi szalała straszna walka. Wreszcie podniósł głowę.

— Idź, chłopcze, pamięć o tobie nie zaginie — a na czoło złożył mu ojcowski pocałunek.

Wrócił Stach do szeregu, oddał kolegom plecak z prośbą, by go w razie śmierci odesłano rodzicom. Potem wyjął kartkę i skreślił kilka słów do Ireny:

Irenko Droga Moja!

Ojczyzna potrzebuje dziś mej ofiary! Idę na zdrazieckie miny z własnej woli. Bądź zdrowa! Kochaj Polskę tak, jak ja ją kochałem i wierz niezachwianie w Świt!

Staszek.

Rzucił kilka pożegnalnych słów druhom i począł się szybko oddalać. Z początku widziano go dokładnie, jak podkrażał się uważnie ku pozycjom Moskali. Potem zginął za lanami zbóż.

Nastąpiła straszna chwila oczekiwania. Cisza była taka, iż mógłbyś usłyszeć szmer muszki przelatującej nad kolumną.

On zaś badał każdy zakątek, każdą jamę... Czasem tylko przesunęła mu się przed oczyma wizja matki, lub ojca ukochanego... czasem zaśmiały się usteczka Ireny.

Nagle!...

Straszny huk rozdarł powietrze, potem drugi... trzeci... czwarty...

Osunęli się strzelcy na kolana, czapki uchyłili z głów, a usta szeptały: »Wieczne odpoczywanie, racz mu dać Panie!«...

W tej samej chwili, przed piszącą do Stacha list Ireną, przewróciła się jego fotografia... Drgnęła...

— Jezus!...

W kilka dni później listonosz wręczył jej... ostatnią kartkę...

Kraków, wrzesień 1915.

JÓZEF GALUSZKA.

Z jesieni.

Wiatr na strunach deszczowych wygrywa tak smutnie, jakby w cmentarz ze śpiewem szedł orszak żałobny, jakby smutku anie'i, płynący nad groby

leż perłami dzwonił o swe drżące lutnie... Mgły zawlokły całuny nad mrącą naturą i wiatr się skarży cicho, łkając nad jej trumną; czarnych ptaków korowód wzniósł się zgajną tłumą i nad grobem coś radzi swą mową ponurą.

Przyszli smutku anieli i cmentarne pieśni poza oknem mi grają na srebrnej dżdżu strunie... Idzie jesień... Marzenie młodości się prześni w kropkach truciźni, lub w jednym, jedynym piorunie... i rze, nie nie zostanie — jedynie żal niemy i te zwiędłe na grobie, białe chryzantemy.

Wrzesień, 1915 r.

Na starym gruncie.

Powieść

przez

M. Febroniusza.

18)

Mówiąc sobie to wszystko bardzo żywo, prawie namiętnie, jak gdyby już się musiał z sobą o coś spierać, znów nieuważnie szedł naprzód i zapędził się kawał drogi, aż opamiętawszy się w końcu przy jakimś kamieniu i bocznej dróżynie, zrazu gniewnie, a potem ze śmiechem ramionami na siebie ruszył.

— Czyż ze mnie nie waryat, który nie wie co robi? — zawołał. — Ładna dziewczyna, to jak kwiat szaleje... trochę wciągniętej woni już odurzy i równowagę zmiesza.

Zawrócił w tył, ale już nie mógł zatrzymać się w rozprawianiu ze sobą. Nauczył się tego w położeniu swoim dziwnem. Kłamał przed ludźmi człowieka innego i ten prawdziwy, który w nim był, mieszkał niby na pustyni, był Robinsonem Cruzoe. Więc jak Robinson prowadził ze sobą rozmowę.

— Wanda... — mówił — Wanda... to dziwnie słodkie imię.

Dźwięk ten grał mu w uszach, jak muzyka, a że był jeszcze w pustym polu pozwolił sobie na przyjemność wymówienia głośno: — Wanda...

Przypominał sobie z kolei brzmienie jej głosu, jej oczy, twarz, postawę, sprawiało mu to przyjemność niewymowną malować tak sobie w wyobraźni jej obraz, aż znalazł się wreszcie na tem samym miejscu rozstajnym, które tak zdradliwie wywiodło go na manowce i ruszył znów ramionami myśląc, jak mógł tak puścić się na spacer, gdy tam ludzie czekali u roboty na dyspozycję jego?

— Niechno ja tylko nauczę się błędzić na znajomych drogach i śnić na jawie — rzekł sobie z napomnieniem surowem. — Czy przypadkiem nie zaczyna mnie już chwytac lenistwo, czy nie odchciewa się już tego, co tak niedawno jeszcze było postanowieniem najszczerzszym, najmocniejszym?

Gniewnie potarł czoło i aby wynagrodzić czas stracony, szybko dążył tam, gdzie go rzeczywiście oczekiwano.

— Zabałamuciłem się bracia — zawołał też, gdy był na końcu u celu, to jest przy naprawianej stodole. — Będę wam za to pomagał, aby prędzej poszło... Dajno Maksymku toporka i te okłotki oto...

Do zachodu słońca pracował tak, jak gdyby był rzeczywiście najętym do tej pracy z toporkiem i kółkami; pracował do gorejącego znoju na czoło i doznawał pewnej przyjemności, gdy go ocierał. Lękał się rzeczywiście, czy nie zaczął się w nim ten proces niedobry, który pospolicie nazywamy stłumieniem ducha.

Spracowany, spał potem twardo i nie miał też snów żadnych, któreby mu odtwarzały obrazy zdarzeń dziecinnych, ale gdy za otworzeniem oczów spojrzał w okno,



Kuchnia, polowa i tren przed kościołem w Kownie

w ogród oświecony złotymi blaskami poranku, postać Wandy, jakby wystąpiła z nich do niego. Może stało się to przez analogię z tym pięknym bukietem lilii, które wczoraj przywiozła p. Michałowej, w każdym razie ujrzał ją i jej oczy, jej usta śliczne i kibić wysmukłą, przypomniał sobie jej uśmiech, czar jej spojrzenia i złączył to z myślą, jak przebywanie z nią, rozmowa musi być pełną uroku, pełną słodkiej przyjemności?

Ale z przezorności, aby nie opóźnić się kiedy ze wstawaniem, z dozorem gospodarskim, Stanisław tak zawsze wieszał sobie zegarek wprost oczu, aby zbudziwszy się, godzinę koniecznie widzieć musiał i to mu posłużyło teraz dobrze. Trzeba było odziewać się niemiarnie, niemiarnie kłaść szaraczkową swą sukmankę, a potem na myśl przywieść wszystkie swe rozporządzenia wczorajsze, kto i gdzie miał co robić, przecież są rzeczy tak w nas pokutujące, jak duchy zakłète i dość było Stanisławowi na dziedziniec wyjść, dość mu było spojrzeć tam przez ganek, gdzie wczoraj pięknej amazonce konia trzymał i cugle podał, aby stanęła przed nim, jak żywa, ze wszystkimi szczegółami tego, co ją otaczało wtedy, i on roześmiał się ze siebie:

— Oczarowała mnie chyba... — rzekł — zadała mi coś.

— Jest to przecież waryactwo — dodał poważnie, idąc dalej ku furtce na gumna prowadzącej — waryactwo, które mnie najniepotrzebniej napada.

Żadne waryactwo nigdy potrzebnem się nie wydaje, a jednak wchodzi ono w skład ludzkiego życia i ten, któryby od kolebki do mogiły zawsze trzeźwym był, musiałby powiedzieć sobie, u mogiły tej progu, że nigdy nie żył... Mądrość, która jest sercem ludzkich lekarką, czy nie dlatego tam zstępuje, że przeszła tamtędy choroba, cierpienie, ból, waryacja? Stanisław znać przystał trochę na pakt taki, bo gdy rękę na kołowrotku położył, przystanął.

— Nie wiem, czy się to wrażenie we mnie potęgować będzie — rzekł — nie wiem, czy mu się obronię, bo ludzka natura jest rozmaita, a ja pod tym względem nie wypróbowałem się jeszcze. Ale do tego już pewnym być mogę, że nikczemnie nie postąpię i choćbym na dokończenie wszystkich nierozsądków mego życia, jeszcze sobie teraz miłość do serca wpuścił, musi to być miłość milcząca, jak grób!

— Gdyby ta piękna, ta dobra dziewczyna, usłyszała odemnie raz słowo gorące, gdyby raz zobaczyła strzelający



Z wojny z Rosją. — Tren prowiantowy w pochdzie przez wieś w niżynie Ikwy.

mi z oka płomieni namiętności, tego samego dnia palnąłbym sobie w łeb...

— Tak... bo wtenczas byłbym czemś gorszym, niż utracysz, przegrałbym coś więcej, niż to, com dotąd na kartę stawiał... wtenczas byłbym lotrem...

Czoło do góry podniósł, zdjął z głowy kapelusz i zapuszczając wszystkie pięć palców ręki między piękne, jasne swe włosy, przegarnął je wskroś.

— Mogę pokochać, bo to tylko sprawa ze mną samym: z dołą lub niedołą moją, ale przemówić, ją kusić, ściągać w dół i poniżać... nie! Jeszcze się tak nisko nie szacuję, aby c to lękałem się dla siebie.

Furtkę otworzył i szedł na okólnik ku zabudowaniom gospodarskim, mając po lewej swej ręce plotek dziedzińca i stary szpaler grabowy, w którym było pełno szczebiotu, gwaru ptasiego, pełno szmeru i ruchu. Szara makolągwa siedziała na słupku płota i zdawała się patrzeć na idącego, przekręcając główkę, a on łagodnie uśmiechnął się do niej:

— Nie, ptaszyno, nie! — rzekł trochę smętnie — podłym, podstępny złodziej i złodziejem cudzej własności nie będę nigdy! O to się nie bój...

— Ale ze sobą wolno mi robić, co chcę — kończył gorąco. — Z sercem walczyć, jest to może stawać do walki nieprzewalczoncy, do walki, którą się zawsze przegrywa. Po co na to tracić siły, których potrzeba gdzieś indziej, tracić je daremnie? Zbiorę je wszystkie, aby mi służyły w inny sposób.

— A przytem, czy miłość nawet nieszczęśliwa jeszcze szczęściem nie jest? Nieszczęście prawdziwe, nieszczęście zupełne, to pustka serca, czerzość jego i chłód... Gdybym ja był spotkał tam kędyś na drodze mojej istotę tak wdzięczną, dobrą i słodką, abym był pokochał, czyż-bym tu był teraz, syn wydziedziczony, na służbie u rodziców cudzych? Jest szczęście nieszczęśliwe w miłości, która musi być milczącą, i ja się nie wzdrygam przed nią, bo to jeszcze jest coś, co pierś grzeje...

Przyszła mu naraz do głowy stara, niby dumna, smutno-wesola piosenka i zaczął ją nucić, idąc:

»Serce nie sluga, nie zna co to pany«...

— Dzień dobry, kochasiu... — ozwał się z tyłu za nim głos pana Michała — Kontent jestem, że sobie śpiewasz, bo ci tu widać u nas nie najgorzej...



Komendant dział 30.5 cm przy telefonie na pozycji obserwacyjnej.

— Tak — odparł Stanisław łagodnym, poważnym głosem — jest mi tu, panie, dobrze, lepiej, niż było gdziekolwiek.

Tak czuł w tej chwili. Jutrzemka miłości ma zawsze to światło różowe, które wszystko wkoło nas zabarwia wdzięcznie i daje sercu ciepło, rozkosznie ogrzewające. Po tem mogą przyjść ogniste, piekące żary, mogą serce palić, mogą je w popiół obrócić, ale każdy początek miłości jest pełen rozkoszy i szczęścia, bo serce otwiera się wtedy, jak kwiat i jak kwiat wydaje z siebie słodką woń dobroci, przychylności dla wszystkich i dla wszystkiego, do szarej płaszczyzny na płocie, do trawki, robaczka maleńkiego. Kto kochając, nie doświadcza tliwej dla ludzi życzliwości, kto może być wtedy jeszcze ostrym i surowym, i komunie szczęścia nie pragnie się dzielić ze wszystkimi dokoła — ten nie kocha prawdziwie i egoista to już jest taki, że głęboko, szczerze, ofiarniczo nigdy kochać nie potrafi. Stanisław był dziś w przedświacie miłości i mógł powiedzieć p. Michałowi: Panie, jest mi tu dobrze w Rudawicy twojej...

Z kolei odezwała się w nim pewna żywość śmiała i do czynu pochopna. Stary powozina pp. Michałowstwa był już jako tako oporządzony, odmalowany, fartuchy fordeklów miały zapinać się na co, półsorki zostały też doprowadzone do przyzwoitego wyglądu, do czego Stanisław jakoś cudownie doprowadził przy pomocy miasteczkowego rymarza. Urodzaje dobrze się zapowiadały, on zaś sam obiecywał p. Michałowi dwa razy tyle siana, niż zbierano go zwykle, bo i obszerne polanki leśne kosić postanowił i łąk bardzo troskliwie pilnował; lecz teraz oto, na owe spodziewane korzyści licząc, dopuścił się śmiałości nie lada. P. Michałowa kiedyś w rozmowie z nim westchnęła, że dawniej jeździła zawsze temi czasy do drugiej parafii na odpust w dniu św. Antoniego, ale obecnie już tego zaniechała. Tam się zwykle zbiera wielki zjazd ludzi z okolic dalszych, i jak się takimi szkapinami wlec?... Dwie mile drogi i piaskami wielkimi...

Nie domówiła, że jej przykro jest nędzę swoją przed obcymi prezentować, że to i męża zgryzłoby pewno, ale Stanisław zrozumiał biedną kobietę. Rozmowa ta miała miejsce parę dni temu i on się namyślał, jakby tu przyjść do jakich takich koni, któreby przecież do powozu ująć mogły — mogły go uciągnąć? Za swoje kupować nie śmiał. Już cichaczem jedną ratę jakiegoś podatku zapłacił, tłoma-



Wciąganie ciężkich belek przy budowie mostu na Dmestrze.

cząc p. Michałowi, że prolongatę w powiecie uzyskał, a że to zwalniało od egzekucji: załogi trzech żołnierzy, którym trzeba było za każdy dzień egzekucji płacić i wraz z koniami żywić, pod dachem swym mieścić; pan Michał aż ręce do niego z radości wyciągnął i w głowę ucałował, a potem wieczorem przed żoną unosił się, że im już chyba cud boski takiego ekonoma zesłał.

— Jaki on obrotny, moje życie... jak umie interesa robić — opowiadał. — Jeszcze tu mało kogo zna, a poradził sobie lepiej, niżbym ja to umiał. Prolongowali, moje życie, aż do przyszłej raty... Uważaj-no, do wrześnie! Kiedy pomyślę, że wstawszy jutro rano, już egzekutorów nie zobaczę, to bym go jak rodzzonego syna ścisnął... A jeszcze i Staś... To już miłosierdzie boskie nad nami... wyraźnie miłosierdzie i cud...

Przecież Stanisław obawiał się dalej posunąć granic cudowności. On się też do tej pary starszków biednych coraz więcej synowskim nienal sercem przywiązywał i zmartwić ich, upokorzyć bał się bardzo. Duma ubóstwa bywa u pewnych ludzi, którym było kiedyś lepiej na świecie, bardzo drażliwą, ale naraz zrobił się Stanisław odważniejszym. U młynarza, w sąsiedztwie, była para koni bardzo dobrych, do lepszego nawet powozu ująć mogących i on teraz targować je zaczął, stargował nawet, zadatek dał i w pewnej chwili spokojnej do pokoju p. Róży cicho się wsunął. Nad wieczorem to było: kobieta siedziała przy oknie otwartem i tęskny wzrok w dal posłała; nie mógł dolecieć tam, gdzie jej myśli biegły, jednak ślała go tam ona, bo dla miłości, dla tęsknoty niema przestrzeni i matka stara patrzyła w tę stronę, kędy za lasami, za górami, za rzekami był jej Staś, a usta szeptały modlitwę nowenny do św. Antoniego, gdy drzwi otworzyły się leciutko i wszedł Stanisław. Nie rozgniewała się, że jej modlitwę przerwał, a nawet markotną nie była. Odgadywała w nim, podobnie jak p. Michał, człowieka, który przez jakiś ciężki los przeszedł, a przytem był Stanisław... i dla nich jak rzeczywiście cudem zesłany.

— Ja tu przyszedłem po radę jedną — rzekł, a gdy p. Róża podniosła na niego pytające oczy, on zaczął jej opowiadać, że nadarza się przypadkiem bardzo korzystny interes, którego on jednak na swoją odpowiedzialność zrobić nie śmie. Młynarz ma konie, które sprzedać chce... dwa razy mu je zajmowano, bo w szkodę weszły, a osobnego chło-



Komendant armii Böhm-Ermolli ze swoim sztabem na ulicach wschodnio-galicyjskiego miasteczka

paka do nich trzymać nie oplaci się. Teraz każdy musi iść do roboty i z koniui bieda. Drożył się z niemi na jarmarku, teraz-by z ceny spuścił, nawet zapłaty zaraz nie wymaga, byle ktoś pewny konie sobie wziął.

— Wcale dobrze wyglądałyby u powozu na odpuscie w Trościenicach — dodał Stanisław do tych niby słów młynarza trochę nieśmiało, bo było mu rzeczą przykrą przed tą dobrą, przed tą wierzącą mu, klamać. — Są pod ręką i posłużyłyby właśnie na odpust...

Byłoby to umożliwił modlitwy matki za syna! Smutne serca kobiece — kobiece serca nieszczęśliwe, muszą podnieść aż do Boga nadzieję swoją, gdy na świecie niema już dla ich szczęścia oparcia, bo inaczej jużby się nie zdołały utrzymać na ziemi. I kobieta, gdy nad ukochaniem swoim sama czuć nie może, potrzebuje też zwierzyć straż nad mem Bogu, jeżeli serce nie ma jej pęknąć w piersiach z żalu i niepokoju. Pani Róża, która, patrząc w dal nieprzejrzaną, posyłała tam modlitwę — p. Róża prosta, skromna, pokornego, wierzącego ducha kobieta, rozpłakała się.

— Ach! — szepnęła — jabym tak chciała tam jechać, ja już ślubowałam sobie iść pieszo, tylko nie wiem, czy zajdę...

Wzruszona, szczęśliwa, patrzyła z wdzięcznością w oczy Stanisława, gdy ten w dalszym ciągu opowiadał jej, że młynarz zostanie spleconym, skoro tylko skoszą się łąki i zestroży siano. Pozna się wtedy, co będzie trzeba na swój użytek zostawić, a resztę się do ludzi wywiezie. Wielki uródzaj tego roku, trawy w pas...

Pani Róża obiecała, że męża do interesu skłoni i gdy Stanisław sięgnął po rękę kobiety, aby ją, jak syn, do ust ponieść, ona położyła na jego rękę drugą rękę swoją: białą, ciudną, zınarszczoną rękę.

— Niech cię Bóg błogosławi — rzekła. — Wiem ja, że to nie młynarz konie nam narzuca, ale tyś ich poszukał w poczciwości twojej i skoro masz nadzieję, że na jesieni się splaci, to zrób, jak chcesz...

— Niech cię Bóg błogosławi — powtarzała — niech cię nigdy nie spotka strata tego, co sercu twemu drogie...

P. Róża nie przywiozła sobie ze świętego miejsca pociechy i ukojenia serdecznego, lecz przeciwnie, wróciła do domu z bolącą głową, z bolącym ciężko sercem, które jej uklęto i napełniono goryczą okrutną. Nie było to żadne

święto uroczyste, ludzie, nienależący do parafii trościenieckiej, szli w pole do roboty, jak w każdy inny dzień powszedni. Pan Michał, który sobie wyobrażał, że i on też coś robi, że jest mimo Stanisława przy gospodarstwie potrzebnym, nie pojechał z żoną, którą tylko z wielkim zadowoleniem wsadzał do starego powozu, zaprzężonego teraz w parę dobrych koni.

— Dziękuję ci, kochanku, bardzo dziękuję, że ta myśl kupienia koni szczęśliwie ci do głowy przyszła — mówił do Stanisława, gdy powóz z miejsca ruszył. — Ja, widzisz, stary jestem i jakoś nie wpadłem na koncept, że będzie można zapłacić to jesienią, pieniądźmi za siano wziętymi. Dziękuję ci też teraz, żeś to skombinował tak rozumnie i teraz moja jejmość dobrodziejka porządnie sobie jedzie...

— Będzie się modlić za naszego Stasia — westchnął biedny stary na zakończenie.

I p. Róża jechała ze słodką myślą o tej modlitwie, która była dla niej cichym wylaniem swego smutku i nadziei, że Bóg może ją usłyszy. Wyjechała wczesną godziną poranku jeszcze o chłodzie, aby zdążyć na pierwszą wotywę, zanim zrobi się w kościele ścisk i gorąco, a głównie zanim się zbiorą tam ludzie, z którymi w osamotnieniu jej i biedzie pozrywały się stosunki bliższe. Wprawdzie wszyscy szanowali ją bardzo, mieli dla niej współczucie nieklamane, ale węzły zażyłości dawnej rozluźniały się powoli; ona, smutna i uboga, trzymała się na boku i zapomniano o niej. Gdy przecież ktoś ją gdzieś ujrzał, gdzieś w kątku, na stronie, zrywał się z żalem, z wyrzutem sumienia i biegł do niej, ręce całował, o zdrowie, o wiadomości od syna pytał i wrzeszał, nieraz z oczu biednej matki łzy wydostawał, a ona, choć wdzięczną za to była, wołała jednak tego unikać.

Już wyszła niejako z kolei dawnych sąsiedzkich stosunków, na co składała się tak bieda, jak i wiek. Syn w naturalnym biegu rzeczy byłby się stał dla rodziców łącznikiem, wiążącym ich ze światem; ale gdy łącznika tego zabrakło, musiała przyjść na nich samotność i ta niepamięć ludzka, która się zwolna bez złej woli, ale ze słabości natury człowieka w takich okolicznościach wyrabia. Im było prawie z tem lepiej; ubóstwo ich i smutek miały spokój cichy, lecz był dom jeden, odwieczną przyjaźnią i stosun-



Zajęcie roentgenowskie złamanej dolnej szczęki.

kami najbliższego sąsiedztwa z nimi związany, z którym zwłaszcza p. Róża pragnęła była dawną zażyłość, dawny związek utrzymać. Ale na miejscu nic nie stoi i tu właśnie zaczęły zachodzić zmiany, bardzo dla niej bolesne.

Pięć lat dobiegało właśnie, jak Stanisław Rudawiecki strony rodzinne, rodziców i narzeczoną pożegnał, a pięć lat, to długi okres czasu na dotrzymanie wiary w nieszczęściu. Nie zламala jej wprawdzie ukochana, ale złamać ją cicieli za to ci, którzy do niej prawo mieli. Wujenka zaczęła się nudzić ofiarą przybranej córki: wychowała ją, karmiła, odziewała przez lat tyle i nie w byle jakie sukienki, trzymała do niej guwernantki z najczystszyimi francuskimi akcentem, woziła ją do miasta dla muzyki i tańca — i czyż za to wszystko nic nie miała w zamian otrzymać? Dzieci, czy rodzice, czy przybrane, powinny się rodzicom, wychowawcom swym wywdziżyć, przynosząc im z siebie pociechę dając im szczęście, a jakież to pociechy, jakiego to szczęścia można się było doczekać z tej wędrującej w tęsknocie, z tej noszącej się czarno, jak wdowa?

P. prezesowa, bo tak zwano ogólnie wujenkę p. Wandy, której mąż nieboszczyk przez czas pewien był prezesem jakiejś komisji obywatelskiej, może dozoru kościelnego — pani prezesowa poczęła najpierw wyrzekać w domu, potem żalić się sąsiadkom, aż nakoniec pomyślała, że już poświęcała aż za wiele z tego, co należało się jej od córki przybranej. Pojechała do miasta na wystawę i wyścigi, bo czyż ona żadnej już rozrywki użyć nie ma? P. Wanda w dalszym ciągu obowiązków córki, musiała się świetnie ustroić, musiała okazywać się bardzo grzeczną i uprzejmą oia p. Romana Kalinowskiego z Kalinowa, wielce elegantskiego i światowego młodego pana, który niedawno w okolicy osiadł i niewiele o niej wiedział, z ludźmi, nie zapoznawszy się jeszcze dobrze, zwłaszcza, że nie z każdym zapoznać się chciał. Z p. prezesową w mieście się dopiero spotkał; podobala mu się jej cugi i sługi, podobała mu się pania i, z tytułu sąsiada o parę granic, atencją swoją jej złożył i został bardzo uprzejmie przyjętym.

Wkrótce wielkie łaski sobie zjednał dla sztyku pańskiego i tonu, przytem umiał być przyjemnym i po-



Grób żołnierzy niemieckich przed domem włościańskim w Kurlandii.

żytecznym — umiał dawać tak dobre rady co do przepędzenia czasu, że nigdy nudów nie dopuszczał i o kazał tyle zalecających go przymiotów, że stosunek nie zerwał się wraz z wyjazdem z miasta. Wyjechano razem, bo przecież mieszkano w jednej okolicy i jechano też w sposób bardzo wesoły i przyjemny; popasy i noclegi nie były już nigdy przykre i nudne, bo grzeczny sąsiad starał się je rozweselać i o i.e. można, wygodniemi uczynić, a p. prezesowa odżyła w tej atmosferze, oddawna upragnionej. Nareszcie zrobiło się koło niej dworno i wesoło, nareszcie klasztorna cisza została rozpędzona. Za czasów jej młodości ludzie bawili się; wizytowano się, zapraszano, zjeżdżano się do miasta w pewnych porach i kawalerowie krążyli koło panien, jak motyle koło kwiatów, niekoniecznie z jakimś już zamiarem, ale tak: dla względów sąsiedzkich, dla okazania należytej atencji — dla zabawienia się i używania młodości, i p. prezesowa, choć musiała przystać na zmiany konieczne, nie miała chęci przystać na to, aby w tem przesadzać — jak mówiła — patrząc na przybraną córkę z wyrzutem!

Dodawała, że dziś młodość sama i żyć nie umie i innym jeszcze życie przykre czyni, lecz zaczynało się to jakoś naprawiać.

— Moja Wandzia sensatką jest trochę — powiedziała p. Romanowi — ale to głównie z powodu, żeśmy się zasiedzieli na wsi. Mój nieboszczyk mąż był już człowiekiem w wieku, ruszać się z domu nie lubił.

P. Romanowi Wandzia podobała się bardzo taką, jaką była, ale i on nie należał do tej młodzieży z epoki prezesowej, która wśród światel i cieni swoich, tę miała właściwość, że się zapalała, choć czasem słomianym ogniem. Nie był pewnym, jakim ostatecznie był stosunek przybranej córki do matki i nie chciał się „awansować”. Na gruncie rzecz da się zhadac lepiej, myślał, i postanowił działać pomalu. Za powrotem pań do Porzecza, wizytę złożył, a nawet zaczął bywać, jak zauważono w okolicy, ale nie nad to jeszcze nie było. Pani prezesowa wyraźnie powiedziała Wandzi, że heroizmem wiecznie żyć nie można, że pięć lat straconych w życiu, to rzecz niemała, że wreszcie ma już rok dwudziestą trzecią i że zatem jej dawne przesadywanie w Rudawicy nie może mieć teraz miejsca.



Sala operacyjna w lazarecie forticznym w Strassburgu.



Mobilizacja Szwajcaryi: Członkowie Rady Związkowej objaśniani przez dowódców wojsk na porgraniczu



Kuźnia połowa przy budowie mostu na Dniestrze



Z wojny z Rosją: Ekscelecencya Szurmaj ze swoim sztabem na Wołyniu.

Ona sama nie pojechała tam po powrocie z miasta i p. Wanda wykraść się tylko musiała, aby tam wpaść, ręce p. Róży ucałować, u kolan jej wylać lezkę tęsknoty, z której w domu czynionoby jej zbrodnią.

— Rzeczy, które do niczego nie prowadzą, nie powinny nam życia bałamucić — mówiła sentencyonalnie prezesowa, a przybrana córka słuchała w milczeniu. Gdyby była córką rodzoną, postąpiłaby może inaczej, byłaby do kolan matczynych przypadła i objęła je, z płaczem wyznając, że miłość, którą ma w sercu, żyje tam i jest — być już musi dolą jej życia i może nawet byłaby dodała w uniesieniu:

— A obowiązek, matko... a świętość wiary, której nie godzi się łamać więcej może, niż gdybym była ją u ołtarza przysięgła?...

Byłyby przytem i strugi łez, i całowanie rąk matczynych — ale tu tego być nie mogło. P. Wanda czuła gniołący ją dług obowiązku, o którym jej nieraz przypomniano, czuła się skrępowaną i na duchu upadła, nie tak przecież, aby nie powiedziała sobie, że nic i nigdy nie zmusi jej stać się wiarołomną i nieuczciwą. Tylko biedaczka tchórzyla przed tą chwilą straszego przejścia, gdy będzie musiała wyrzucić już z ust te słowa, gdy jawnie i głośno wypowiedziane sprowadzą na jej głowę grad wyrzutów, gdy jej wyliczać zaczną, ile-to lat jadła chleb łaski i ona może uczuje się w sobie rzeczywiście niewdzięczną, zadłużoną, że nie ma czem wypłacić się za to, co odbierała...

Tchórzyla przed tym momentem ciężkiej przeprawy i czekała chwili okrutnej z milczącą skrytością niewolnika.

Dla p. Romana była grzecznie zimną i biernie posłuszną ciotce — grała mu, śpiewała, kładła w spodziewany dzień jego odwiedzin suknie, jakiej jej nakazywała strategia ciotki, lecz w dni szczęśliwiej swobodne chwylała możliwie wolną chwilę i wymykał się do p. Róży, nie tylko już, aby się przytulić do jej serca, aby dostać od niej ciepły i prawdziwie macierzyński pocałunek na czoło, lecz może głównie dla zapobiegnięcia tej rzeczy okrutnej, aby serce biednej kobiety nie zaczęło tracić wiary w stałość, w wierność jej uczuć — aby i jej nie dotknął zarzut zmiennictwa.

Rzecz mogła się przecież wydać, mógł ktoś przypadkiem zdradzić przed ciotką biedną amazonkę, ale ona już wiedziała, że stoi na sa-

nej krawędzi tego brzegu, który był dotąd gruntem jej życia. Co z tego wyniknie? Już ona to przyjmowała z gory, z tą tylko pewnością, że nie zdrada, nie nikczemna słabość z jej strony.

Na odpust do Treścienicy jeżdżono tradycyjnie z okolicznych dworów. Jeżdżono tam i z Porzecza, jeżdżono z Rudawicy, a dawniej umawiano się zwykle razem i razem przybywano, tak też na pierwszą wotywę, jak teraz jechała p. Róża bardzo szczęśliwa, bardzo wzruszona, że tam jedzie.

Droga szła głównie lasem, świeżość poranku była jeszcze w powietrzu i oddychało się lekko wciągając w pierś aromatyczną woń ziół, przyczem dużo ludzi ciągnęło w tę stronę i wyjechawszy z lasu, widać ich było na wszystkich drogach i dróżkach, a jedną ciągnęła kompania z sąsiedniej parafii, z chórągami, z krzyżami, śpiew pobożny kilkudziesięciu głosów rozlegał się uroczyście i p. Róża już tu modlić się zaczęła.

Miała lzy w oczach, ale lzy, które nie boją. Zadowolenie z tego, że pojechać mogła, brała za jakieś przeczucie dobre i zdawało się jej, że jedzie na miejsce święte po coś milego, dobrego...

Zwykle dworskie powozy za jeżdżały przed jedną już, główną bramą, od której droga dość szeroka wiodła prosto do drzwi kościelnych. P. Róża nie miała lokaja, aby jej otworzył drzwiczki powozu, które — mówiąc nawiasem — odmykały się nie łatwo, jak wszystkie na świecie zamki stare, poczynając od tych, które są w sercach ludzkich i strzegą złożonego tam skarbu, którego przecież nikt kraść nie chce. Ale przed bramą stała kupka ludzi, był między nimi kowal z Porzecza, był jakiś ekonom też z pobliska i jeden z drzwiczkami się załatwił, drugi p. Różę wysiąść pomógł i ona, podziękowawszy im grzecznie, poszła prosto przed siebie, dając po drodze po kilka groszy żebrzącym dziadom i mówiąc każdemu z nich, nie bez wzruszenia pewnego:

— Do wspomnienia Bożego...

Dziady zaraz zaczynały pacierze i ona nie uważała, nie słyszała, że zaraz, skoro tylko w bramę weszła, głos gromki krzyknął na jej woźnicę, Osipka:

— A z drogi tam!... — i przed bramą zajeżdżał powóz drugi, lecz inny, zgoła inny, niż jej landara biedna, przez Stanisława jako-tako podreparowana: nowy elegancki powóz, wiktoria otwarta z zaprzę-



Mobilizacja Szwajcaryi. Reflektor umieszczony na górskiej kolejce polowej.



Przez niemieckiego rzeźbiarza służącego w wojsku zrobiony medalion Hindenburga pod murami Wilna.



Z wojny z Rosją. Niemiec ułani pędzą bydło zarekwirowane w wiosce wołyńskiej.



Z wojny z Rosyą — Wojska niemieckie zakwaterowane w jednym z kościołów wileńskich.

giem czterech siwych koni, z lokajem i stangretem w galonach, który zdalca z bicia trzaskal, ludzi z drogi swej spędzając.

W powozie siedziały w głębi dwie panie, z otwartymi na poranne słońce parasolkami, a tuż za powozem jechał kocznyk wytworny: faeton, wybity pasowym aksamitem, zaprzężony w parę koni karych, a w nim młody, trzydziestoparoletni pan, przystojny brunet, który się szybko przy drwiczkach wiktoryi znalazł i paniom rękę przy wysiadaniu podał.

Był to p. Roman, a panie, którym asystował, były z Porzecha. Panna Wanda w kremowej, delikatnej toalecie, miała niezmiernie elegancki kapelusik na głowie, miała zatknęty za pasek piękny kwiat, różę jakąś osobliwą, którą dla niej przywiózł z Kalinowa p. Roman, a którą ona zatknęła posłusznie za pasek, gdy p. prezesowa rzekła jej z wesołym uśmiechem:

— Ustrój-że się, Wandziu, w tę śliczną różę... będzie ci w niej ładnie.

W ogrodzie porzeckim, który miał sławę na okolicę i ogrodnika aż z Warszawy, było kwiatów wiele niepospolitych, ale ta róża, której nazwa była podobna „Wiktorya Regina”, wydawała się p. prezesowej szczególnie wonną i piękną, a siostrzenica zyskała w jej oczach na wdzięku, mając ją przy boku. Pocałowała ją na wyjeździe i przez całą drogę była szczególnie rozmowną i wesołą.

— Dobrze dziś wyglądasz — powtórzyła kilkakrotnie — bardzo dobrze...

Ale, przeciwnie, p. Wanda wyglądała dziś źle, bo była bledszą, niż zwykle i miała siwe obrączki pod swymi pięknymi oczyma. P. Roman siedział wczoraj w wieczór dłużej, niż kiedy, ona grała i śpiewała. Okna były otwarte na ogród i płynęło ztamtąd powietrze już od rosy nocnej wilgotne, więc jej głos który zrazu zdawał się zimnym i jak gdyby twardym nieco, zaczął potem stawać się rozciąglwym i brzmącym, zwłaszcza przy jednej argi włoskiej. P. Roman który dla przysługi odwracania nut stał nieco w tyle, poza nią i patrzył z góry na jej piękną, kształtną głowę, na jej bogate włosy czarne, na szyjkę delikatną, która się wyłaniała wdzięcznie z pośród jakichś jasno-liliowych muslinów — p. Roman zaczął trochę doznawać napadów sentymentalizmu, zaczął zapominać

o wątpliwości: czy akt przyjęcia p. Wandy za dziecko został kiedy i w jakiej formie sporządzony przez nieboszczyka prezesa, wspólnie z żoną? Coś mu chodziło koło serca, jakby miał chętkę usunąć się przed p. Wandą na kolana, a przynajmniej rączkę jej, widzianą w półświecie na klawiszach fortepianu swoją ręką przykryć i zatrzymać ją, wziąć w uścisk dłoni, która sławała się gorącą. Gdyby nie było naprzeciwko nich p. prezesowej, tak zadowolonej, że można było powiedzieć, iż rosta na krześle, możeby się było tak stało, i p. Wanda, którą włoska arga mimowoli rozmarzała, i unosiła w krainę wspomnień, byłaby, ocknąwszy się z nich nagie rzekła mu wtedy poważnym głosem, że ona nie jest do miłości dla niego, bo ona już się uważa jakoby za poślubioną, jakoby za mężatkę.

Co byliby odpowiedział na to p. Roman, dowiadujący się nagie o tej niezwiadomej mu rzeczy?... — trudno zgadnąć naprzód. Ze przecież p. prezesowa była, ioczy jej działały trzeźwio, jak zwykle w takiej chwili oczy wszelkie, prócz tych, w które się patrzeć pragnie: więc fakt nie miał miejsca i koncert skończył się nawet dość prędko, bo gdy, po skończeniu argi włoskiej p. Wanda lekko pochyliła się naprzód, jak gdyby słuchając, w którą stronę świata płynie echo jej głosu, uciekającego przez okno, p. prezesowa, nagle też stając się romantyczną, przerwała ciszę:

— Wandziu! — rzekła wielce macierzyńskim głosem — zaśpiewajno tę piosenkę Moniuszki. Tak... zdaje mi się, że Moniuszki? tę, którą często śpiewasz... tę... „Gdybym ja była gwiazdeczką na niebie”...

— Nie pamiętam już jej — odparła p. Wanda, nagle powstając od fortepianu.

— Jakże, duszko? Śpiewać bądź czy nie w tym tygodniu, wróciwszy ze spaceru. Pamiętasz... jeździłaś zdaje mi się konno, bom cię widział w amazonce. Był ksiądz proboszcz i grałam z nim w ekartę, a tyś wróciła i siadła śpiewać...

— Zapomniałam — powtórzyła Wanda jakoś stanowczo i trochę twardo — zapomniałam.

Zegar zaczął bić godzinę jedenastą, więc pan Roman począł się żegnać i całując tłustą rączkę p. prezesowej, powtórzył, co już proponował był przy herba-

Wojskowi kuracyusze na plaży
w Ostendzie.



cie, że będzie towarzyszył paniom jutro na odpust do Trościeniec.

Pani prezesowa nazwała to bardzo miłym spacerem o porannym chłodzie, uśmiechnęła się do p. Romana, poklepała potem Wandziunię po głowie, gdy ta jej mówiła dobranoc, a teraz patrząc na nią i na różę, którą miała za paskiem, powiedziała jej z zadowoleniem, że dobrze wygląda.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z Polski i Litwy.

Z sądownictwa niemieckiego w Królestwie Polskiem. Wyższy sąd niemiecki dla gubernii warszawskiej ogłosił, że dotychczas powstały sądy powiatowe w następujących miejscowościach: Będzin, Częstochowa, Kalisz, Konin, Kutno, Łęczyca, Łódź, Wieluń, Włocławek, Grodzisk, Grójec, Skierniewice, Łowicz, Rawa, Lipno, Kock, Mława, Pułtusk, Nowo-Mińsk. Aby uniknąć pomyłek co do zakresu działania sądu, należy skargi kierować do wyższego sądu w Warszawie, który następnie przydzieli daną sprawę właściwemu sądowi.

Z Warszawy.

Prezydent miasta Warszawy ks. Z. Lubomirski zwraca się do ludności z odezwą, wzywającą do ofiarności na rzecz głodnych.

Czytamy w odezwie: »Niedawno uderzyliśmy do ofiarności publicznej na cele oświatowe i danina obywatelska popłynęła radośnie i hojnie. Dziś — niestety — bijemy w trwogi dzwon: na progu domu naszego stanął głód w całej swej groźbie, w całej swej okropnej nagości...

...Zanim najszerza ofiarność ujęła w pewne normy i zasady obejmie ogół społeczeństwa polskiego, zwracamy się już nie do miłosierdzia i uczuć ludzkich, lecz do samozachowawczego instynktu narodowego, do wszystkich obywateli gorącego serca i do wszystkich, komu dola dostatków opromienia życie, aby bez zwłoki złożył na ów cel święty, nie ofiarę, lecz dług społeczny.

W tragicznej, a przelomowej chwili dziejowej, jeśli nie mamy do podziału dochodu, musimy oddać majątku część. Dla kraju naszego jeden jest niezawodny ratunek: ocalić lud polski od głodowej śmierci!

A w ofiarności naszej niema chwili do stracenia, w pracy — chwili wypoczynku».

W lokalu Resursy kupieckiej odbywają się codziennie obrady w sprawie organizacji rozdawnictwa kart chlebowych. Każdy lokator otrzyma od rządu karty chlebowe na dni 14 dla wszystkich członków rodziny i służby — Z chwilą wprowadzenia kart, wypiek t. zw. »luksusowego« pieczywa będzie zabroniony.

Od dnia 10-go września na wszystkich rogatkach miejskich pobierana jest opłata od przyjeżdżających do miasta włościan z produktami spożywczymi. Wobec tego wielu włościan woli zupełnie do miasta nie przyjeżdżać.

Oddany został w Warszawie do użytku nowo zbudowany z drzewa przez pionierów niemieckich most Beselera. Otrzymał on taką nazwę od niemieckiego gubernatora w Warszawie, generała Beselera, który przewodniczył uroczystemu aktowi wojskowemu. Budowa mostu trwała około 4 tygodni.

W tych dniach będą otwarte nowe kuchnie Komitetu Obywatelskiego: przy ul. Rozbrat na 2.000 obiadów i 3.000 porcyj do kuchni ruchomych, przy ul. Ceglanczy na 2.400 obiadów, przy ul. Wolskiej na 1.200 obiadów i przy ulicy Żelaznej na 800 obiadów.

Wobec wskazówek, otrzymanych przez K. O., postanowiono zwołać po trzech przedstawicieli zrzeszeń robotniczych, w celu omówienia sprawy wejścia 30 pełnomocników warstwy pracującej do Komitetu Obywatelskiego i jego różnych sekcji. Zebranie odbędzie się w dniach najbliższych.

Poczta we Warszawie.

W tych dniach utworzono w Warszawie pocztowy urząd niemiecki, urząd ten jednakże nie będzie zajmować się roznoszeniem listów po mieście. Czynności te mają być powierzone Komitetowi Obywatelskiemu, który własnymi siłami będzie się musiał zająć dostarczaniem listów do rąk adresatów. Wydatki na ten cel poniosą odbiorcy, którzy przy otrzymywaniu listów będą uiszczali pewną stałą opłatę roznośicielom.

Komitet wydał już w tym celu marki podług wzoru, opracowanego przez artystę-malarza E. Trojanowskiego, które są dwójakiego typu: jedna z wizerunkiem syreny, w tej postaci, w jakiej herb miasta jest przedstawiony na dawniejszych pieczęciach miejskich, druga z wyobrażeniem orła.



Zamek Rūnental koło Bauska w Kurlandyi obecnie zajęty przez wojska niemieckie.



Z wojny z Rosyą. — Wysadzony w powietrze most pod Grodnem.



Z wojny z Rosyą. — Zdobyte działo pancerne w łoriach twierdzy Kowno.



Z wojny z Rosyą. — Obsadzony przez Niemców fort 202 pod Grodnem.

Niemieckie biuro pracy.

«Deutsche Warschauer Zeitung» pisze:

«Niemiecka centrala dla robotników utworzyła w porozumieniu się z cesarsko-niemieckim prezydentem policyjnym w Warszawie, biuro pośredniczenia w pracy, działające wedle wskazówek i pod nadzorem tej władzy. Biuro przyjmuje stałe zlecenia niemieckich pracodawców bezpośrednio i pośredniczy pomiędzy pracodawcami i poszukiwanymi przez tychże robotnikami. Robotników przyjmuje się na podstawie kontraktu na warunkach stałych, kontrakt podpisany przez obie strony ujęty jest w języku polskim i niemieckim celem zapobiegania nieporozumieniom. Jeden z głównych celów działalności robotniczej centrali jest opieka nad rodzinami pozostałymi robotników, w ten sposób, że robotnikom odciga się od ich zarobków odpowiednie kwoty, które wypłaca się rodzinom przez tutejszy Komitet Obywatelski na podstawie drukowanych kart legitymacyjnych».

Pismo to podkreśla dalej, że działalność centrali robotniczej w Warszawie nie ma na oku stałego wychodźstwa polskiego robotnika do Niemiec, lecz, że chodzi o przejściowe zarządzanie wojenne. Niemcy, gdzie wszyscy mężczyźni zdolni do noszenia broni zostali zaciąganci, potrzebują sił robotniczych. Polska natomiast, gdzie dla braku surowca i rynku zbytu, w szczególności wskutek nierozsądnego zniszczenia przez Rosyan, prawie wszystkie gałęzie przemysłu stanęły, posiada nadto sił roboczych, którym nawet pracami nagłymi nie może dać sposobności do zarobku.

»Ostbank« w Warszawie. Bank niemiecki p. f. Ostbank, który otworzył już swoją filię w Łodzi, urządza w tych dniach także i w Warszawie, w starym gmachu poczty rosyjskiej przy placu Wareckim, na narożniku Świętokrzyskiej, swoją filię.

Powołanie urzędników niemieckich do Królestwa Polskiego. Do administracji cywilnej w Królestwie Polskiem powołano przewodniczącego partii narodowo-liberalnej w Sejmie saskim, dyrektora sądu ziemiańskiego, Hetnera i byłego posła parlamentarnego, radcę sądowego, dra Heinzege. Podpułkownika v. Treskowa, z Bydgoszczy, mianowano komendantem Wilna. Sędziego Hendrychowskiego z Gniezna powołano do administracji cywilnej w Łodzi. Radcę pocztowego Bittlińskiego powołano do urzędu pocztowego w Warszawie.

Zesłania i wyroki. Gubernator miasta Warszawy ogłasza w «Deutsche Warschauer Zeitung» z dnia 23-go ub. m. następujące rozporządzenie. Zesłałem do obozu jeńców ślusarza Wacława Libelta i robotnika fabrycznego Józefa Skowrońskiego, ponieważ rozdzielali zakazane odczwy.

Przy tej sposobności przestrzegam ludność raz jeszcze przed wszelkimi zgromadzeniami ulicznymi, przed rozwijaniem zakazanych chorągwi i plakatów, przed rozszerzaniem zakazanych pism ulotnych. Jak wynika z moich rozporządzeń, już kilkakrotnie wydanych, każdy, kto bierze udział w takich czynnościach, będzie aresztowany i zesłany z Warszawy, nie mając teni samego widoku na powrót do miasta.



Z wojny w Rosyą. — Obserwatorium urządzone na drzewie w fortach twierdzy Kowno.



Z wojny we Francyi. — Kastor i Pollux w zburzonym domu w La Bassée.

Pochody.

I.

Idą i idą... Jak gdyby lawiny
zsuwać się jeły ze stoków Uralu —
Od Wołgi, Dniepru, i Donu, i Dźwiny
tłoczą się szarą, mewstrzymaną falą
od tajg północny do kaukaskiej skały
wszyscy, — bo car im rozkazał, car biały.
Idą, wciąż idą... Głuchy chód hełotów,
jakby kto rzesze te ściągnął z barłoga
i pędził śpiące pod cie! krwawych grótów,
w kraj, gdzie się wiję łun ponocnych droga —
Idą mrzeć cicho... Za kogo? i za co?
Car, car rozkazał! carski żołd im płacę...
Idą, wciąż idą... Nikt z nich ponoś słońca
nie widział jeszcze, ani szczęścia błysku,
niemi, bez skargi włoką się bez końca
kłaść się w grób wspólny, na oboem ściernisku
w oddalnej stronie... Dlaczego?! Dlaczego?!
Car, car rozkazał z grodu kamiennego!...
Idą i idą... Bezimiennie mrowie
Żadna pieśń o nich w świat się nie rozdzwięczy,
nikt nie zapyta i nikt nie odpowie,
czy pod'le marli, czy w bohaterstw tęczy,
kiedy walczyli nie wiedząc... z k.m... o co...
Car chciał, by był ich i śmierć hyły nocą.
Idą, a idą, jak gdyby lawiny
zsuwać się jeły ze stoków Uralu...

II.

Idziemy, hej, zwartą ławą
od wielu już dni i nocy,
za łuną idziemy krwawą,
wciąż przed się, nieulekli.
Życiem znużeni i młodzi,
i duchy wielkie i proste —
idziemy — miłość nas wodzi
mścić płacz, i srom, i nędzę...
Śmierć czołem tego pochodu,
a drogą krwawę boiska,
a ramą pożary grodu
i wsi płonących ognie.
Nie marzniem w krzepnącym mrozie,
nie znamy głodu katuszy:
śmierć w naszym mieszkaniu obozie
hołubiąc nas, jak dzieci...
W noc nie śnią się nam wawrzyny;
nie dla nich zbratanie z śmiercią
i nieżną są nasze czyny,
jeno dla ciebie, ziemio.
Dla ciebie, o, ziemio moja,
niech krwawią się nasze piersi,
czerwieni się nasza zbroja,
mrą w bolu matek serca...
Po czarnej, świętej nam grudzie,
hej, zwartą idziemy ławą,
i zanim spoczniem po trudzie,
musisz być wolną, ziemio!



Dentystyka na wojnie. Gabinet przyjąć.



Figura świętego w zdobytych fortach rosyjskich.



Z walki z epidemią na południowo-wschodnim terenie bojowym. Podejrzani mieszkańcy o cholere poddani obserwacji lekarskiej.

Głos Warszawy w imieniu Polski.

(5. VIII. 1915).

1914.

— Poszli? — ach, wreszcie! — Podajcie dłonie!
Tyleż bo ciosów, uderzeń, razów!
Dźwignijcie! — Boże! ból jeszcze płonie
Tam, tam, gdzieś w głębi od tych „ukazów“!

Ach wspomnę przecie, jakie męczarnie
Synowie moi tu! wycierpieli! —
Zglądźcie tę pamięć! — Połóżcie darnię,
Byśmy o zbójcy raz zapomnieli!

Weźnijcie ręce! — ach, zdrowa jedna!
Gdzież druga? Boże! — jeszcze odcięta!
Wzięście jedną! a druga? — biedna!
Wróg trzyma jeszcze! jeszcze nie wzięta!

Złączcie mnie z sercem! Tak, tak! krew płynie!
Cudem się ciało moje znów zrasta!
I znów w szczęśliwszej żyję godzinie!
Znowu się łączą stare nie miasta!

Warszawa, Kraków, Lwów — a gdzie Wilno? —
Hej, synu, dalej! dalej. Bóg z Wami!
Niech raz wróg ninnie! — Hej, wstawać mi pilno,
Żyć dawnem życiem, jak przed latami!

Przywóz, w sierpniu 1915 r.

Ach, przecież z sercem mię połączono
I tętno bije, jak dawniej biło! —
Lecz za czemś tęsknię, wznosi się łono;
Czegoś mi braknie! Coś się ukryło!..

W rozdarcu żyli! — Soki obcemi
Żywiono naród rozdarty w ćwierci!
Zda się czuć dobrze przy obcej ziemi
I idzie ślepo, gdzieś, gdzieś do śmierci!

Stóicie, na Boga! — Kto was odurzył?
Żyję, więc czemu nie idziesz ku mnie,
Dziecię do matki? — Ha, ten, co służył,
Co mię za Panią miał — dziś coś dumnie

Hardo niesie czoło nad ludzi
I dzieci moje, moje! chce zgubić!
Kolebko, gdzieś ty? — Matka Cię budzi!
Słyszysz ten głos mój? — nie chcesz mię lubić?

A echo: „lubić“ cicho gdzieś jęknę,
Jakby ciężarem strasznym gniecione:
„Kocham i tęsknię“ znowu wyjękło
I jęk ten płynął w Warszawy stronę.

JÓZEF GAŁUSZKA.

Lecą Orły....

I.

Zerwały się orły z nad Polski mogiły,
 purpurą krwi własnej broczą srebrne pióra;
 wokoło burz wiry, noc wiatrów ponura...
 nad wstęgi piorunów orleń się wzbili.
 Po szczytach chmur dzwoni hejnał Wernyhory
 i Zygmunt wciąż jęczy na królewskiej wieży:
 z pyłów sławy wstają postacie rycerzy
 w złotych koronach królewskich — upiorzy...
 I patrzą, jak orły w piorunów koronie
 przez burze i wiatry ku wolności lecą,
 jak ich srebrne pióra krwi rubinem świecą,
 jak w dumnych ich oczach blask zwycięstwa płonie...
 Rozumiają, że hejnał i Zygmunta granie,
 to święto walk orłów, że to Zmartwychwstanie.

II.

Z pod nieba w dół lecą skrwawione piór strzępy,
 a na polskim łanie wzrosło mogił krocie,
 nad niemi chichocze wicher w wściekłym zawrocie;
 na śmiertelne gody zlatują się sępy...
 Lecz orły wciąż płyną bitew drogą kławą,
 od gniazd swych usłanych na ojców kurchanie;
 w bramy twoje niosą jasne Zmartwychwstanie,
 drzemiąca w kajdanach — królewska Warszawo.
 Słyszysz! Orły kraczą, uśpione przed laty,
 wzdłuż nad szarą Wisłą do twych progów płyną!
 Słyszysz! Szumią skrzydła nad polską krainą!
 To piastowych orląt leci rój skrzydlaty;
 wnet do twoich murów ze zwycięstwa wrzawą,
 wleczą orły polskie — królewska Warszawo!

Lipiec, 1915 r.

Anti-inteligent.

Wojenna humoreska.

Napisał

(LESŁAW D.)

(Dalszy ciąg)

Wyraz ten wywołał panikę; pani burmistrzowa zemdlała, a Agata chciała lecieć po policynta, bo doktor uciekł przed Moskalami. Jedna panna Kazia nie straciła przytomności, ale nakarmiwszy matkę kroplami kapucyńskimi, a okrywwszy ręce rękawiczkami, ściągnęła ojcu buty. Ten bohaterstwo czyn, równający się w oczach Agaty samobójstwu, napelnił ją, jako matkę i niankę Kazi, takim podziwem dla niej, że upadła panience do nóg i z płaczem zaklinała się, że jest niewdzięczną świnią i że pójdzie utopić się.

Dopiero pan burmistrz odwiódł ją od tego zamiaru, jako iż kozacy włóczą się po ulicach i jako że jej stara cnota mogłaby być na szwank narażona, natomist kazał jej spalić buty kozackie i podać jałowcówkę, jako jedyny a niezawodny środek przeciw cholerze.

— Wyobraźcie sobie — mówił, pykając batiar-cubę — pod samym magistratem ściągnął mi kozak buty, mnie burmistrzowi miasta, głowie autonomii. Jak mi stare buty ściągnęli na ulicy, nic nie gadałem, bo stare były drańcie i nie pod magistratem, ale teraz nowe buty...

— Na święty Michał pięć років jak kupione — wtrąciła Agata.

— A juści, 14 papierków kosztowały; chodź w nich człowiek ido starostwa i do powiatu, witałem w nich posła i świętego biskupa i każdy mnie uszanował, a taki »hucfot« ściąga je, jakby to były zwyczajne chłopskie buty...

— Że się nie bał boskiej kary — znówu wtrąciła Agata. — I to pod samym magistratem.

— Nie mogłeś zawołać policynta?

— Aha! Jak zobaczył, co się dzieje, to dał nura do magistratu, niby po pomoc, a przyszedł, jak już było po wszystkim. Lajdak! dam ja mu noworoczne!

Te groźne słowa, ciężarne w tak doniosłe zdarzenia, wywołały — o dziwo! — osobę samego policynta, nie mającego wprowadzić nic wspólnego z Bankiem, zjawiającym się w czasie uczty, ale skutek był ten sam mniej więcej. Agata i pani burmistrzowa przeżegnały się ze trzy razy i zaczęły szeptać modlitwę do Przemienienia Pańskiego cofając się politycznie ku drzwom, ale skamieniały, gdy usłyszały, że pan pułkownik wzywa pana prezesa do magistratu. Pan burmistrz nie wierzył swym uszom.

— Co? mnie, burmistrza miasta, śmie jakiś tam...

— Cicho, na Boga ukrzyżowanego, bo jak kto posłszy i doniesie... — reflektowała męża pani burmistrzowa.

— Wszystko mi jedno; albo jestem burmistrzem, albo nie jestem burmistrzem, ale nie pozwolę, aby mnie jak pierwszego lepszego włóczykija wołano do magistratu, gdzie ja mam tylko prawo rządzić, a nikt inny. Nie pójdę!

Policynt, który widział, że najście Moskali jeśli nie zdezonizowało burmistrza, to w każdym razie obcięło władzę burmistrza tak, iż tylko tytuł z niej został, nie wiele robił sobie ze swego przełożonego i z najfilozoficzniejszą miną w świecie zapewniać zaczął pana prezesa, iż pan pułkownik przyszłe po niego żołnierzy.

— Niech sobie nawet cały pułk przyszłe, rozumiesz, garni jeden. Matko! schowaj Kazię do szafy, ażeby jej Moskale nie zobaczyli, zamknijcie się w drugim pokoju, a mnie tu samego zostawcie. Niech sobie teraz Moskale przychoǳą.

Pan burmistrz był zdecydowany; gdyby miał klasyczne wykształcenie, zacząłby czytać żywot Katona, lub kazałby się zabić niewolnikowi, niestety — obcym był głowie autonomii dohyczyckiej gest starożytny, a niewolnik, względnie niewolnica Agata — przerażona o swą cnotę, wpełchała się pod łóżko, skąd mimo zapewnień policynta, że ją chronią przed kozakami wiek i uroda, wyleźć nie chciała. Żona i córka klękły przed panem swym i zaklinały go, ażeby się schował, o czem nawet słuchać nie chciał, powiadając, iż nie godzi się, aby on — głowa miasta — krył się i po zakamarkach gdzieś szargał swą powagę i dostojeństwo.

— Niech zginę, ale na stanowisku, nie pod łóżkiem, lub za szafą. Wy, kobiety, macie prócz żywota i cześć niewieścią, której bronić musicie, ja mam tylko żywot i skoro trzeba oddam go dla dobra miasta.

— Ale kłoby tam chciał żywota pana prezesa? Pewnie o kwatery chodzi, albo o okup — uspokajał burmistrza policynt. — Gdyby byli chcieli, toby już 100 razy byli ułukli pana prezesa, ale co im z tego przyjdzie. Buty i zegarek i tak już panu prezesowi odebrali... Ja ta się nie boję, bo na sztyblety, psiekrwie, nie łakome, a zegarka nie miałem nigdy i nie mam. Goly nie boi się rozboju.

Ostatni argument skłonił Agatę do wyjazdu z pod łóżka, a pan burmistrz zaczął się zastanawiać i skłaniać ku zdaniu policynta, do czego jednak nie chciał się jawnie przyznać, jako iż nie przystoi przełożonemu przyznawać racji podwładnemu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

BOGDAN ZNICZ.

Korona-Litwie.

W dzień wyzwolin jej stolicy z pod carskiej niewoli.

Litwo! Siostrzyco! — Pęta wickowe,
Co nam nałożył tyran Północy,
Padły skruszone! — A on — w niemocy
Chwieje się, ślania i chyli głowę!

Patrzaj! Pociski te piorunowe,
Którym się ludzkiej nie oprzeć mocy,
Pójdą, przy Niebios świętej pomocy,
Uderzyć w serce to tyranowe!

I wstaniem razem do światła, z cieni;
Wolności zorze znowu zapłoną;
I mrok niewoli w Świt się przemieni!

I śluby dawne Litwa przypomni;
Lata przymierza wspomną potomni;
I znów żyć będziem: Litwa z Koroną!

Wrzesień, 1915 r.



Zabawy żołnierskie.

JOZEF GAŁUSZKA.

Zakwitną różę

Świeże mi różę przyniosłaś, aniele,
I na pierś jego kulą przestreloną
złożyłaś. Spojrzałem: świeże różę płoną,
jak maj, w ołtarzu Maryi, w kościele,
Wspominałem, jak wiosna cudne kwiaty ściele,
jak słońce błyszczący złotą koroną
nad ojców chatą w zieleń umajoną,
gdzie róż kwitnęło tak wiele, — tak wiele..
Lecz teraz jesień, deszcz za oknem prószy
i z każdą kroplą, co po szybie ścieka,
wśród jasnych marzeń-rozpaczny katuszy,
z rozdartej piersi wciąż życie ucieka..
Zima tak długa.. potem — myślał sobie —
z wiosną mi różę zakwitną — na grobie..

Listopad, 1914.

BOGDAN ZNICZ.

Polski Termopile.

Na Termopile! — Kraj się poddał cały!
Niemasz obrońców! Drżą przed naszą mocą!
W strachu śmiertelnym uszli przed Północą!
I z dzikim wrzaskiem hordy naprzód gnały

Na Termopile! — Tam, tam, na te skały!
Zapory skruszym! Wedrzem się przemocą,
Zegnij kołana Zachód przed Północą!
Nasze tam będą orły panowały!..!

Kto tam się opór stawić nam odważył?
Naprzód! Do boju! Naprzód, syny wraże!
Ginące miliony! Wódz naprzód iść każe!
Wodzu! — tłum jęknął śmiertelnie już blade —
Nie pójdziem naprzód! Huf stoi na straży

Leonidasów! a dziś niema zdrady!!!